

# Kronika tygodniowa.

W naszym kochanym Krakowie panuje już najzupełniejszy spokój, ale nie z tego powodu, jakoby się może stesunki gruntownie poprawiły. Jest zupełnie tak, jak było przed dwoma tygodniami i przed tygodniem, a nie należy tracić nadziei, że zupełnie tak samo będzie za tydzień i za dwa tygodnie, z tą chyba różnicą, że ceny się znów podniosą.

Nawet pogoda nie chce się zmienić, a deszcz jak kapie, tak kapie. Dzięki Bogu, że nie mamy w Warszawie ministra od pogody i temperatury, coś w guście pana Ko-ko ze znanej operetki „Mikado”. Byłoby na kogo złożyć odpowiedzialność, że tak po macoszemu obchodzi się z Małopolską, gdyż w innych dzielnicach jest pod tym względem podobno daleko lepiej. Deszcz pada tam, ale tylko wtedy, gdy potrzebny i w miarę.

U nas zmeżło tu i ówdzie przebąkiwać, że Pan Bóg zgłuszał się na świat za jego łajdactwa i chce go zniszczyć drgnięciem wydanym potopu, nie też w tem dziwnego, że znaleźli się strachajkowie, którzy chcą siebie, rodziny i dobytek ratować od pewnej zagłady. postanowili pójść w ślady praojca Noego i zbudować sobie arki, w które mogliby zabrać wszelkiego stworzenia po parze.

Dłoń pomocną miała podać „Żegluga polska”, ale ona okazała się w tym kierunku niekompetentną, gdyż potop ów, jaki będzie, ma być nie wyłącznie polskim (z uwzględnieniem naturalnie praw mniejszości narodowych...), ale międzynarodowym, tak, jak nasza dotąd Wisła, w której teraz nawet Chłiczek może się swobodnie kąpać i łapać ryby, o ile naturalnie nie jest zwolennikiem metody amerykańskiego doktora Page, który twierdzi, że kąpiele skracają życie.

Swoją drogą lekarz ów ma rację (dziś ją ma każdy Amerykanin...). Sam znalazł ongi pewnego jegomościa, który dziś nie żyje tylko dlatego, że się utopił podczas kąpiele. Biedak!... Gdyby w owym czasie znane były teorie dra Page, z pewnością żyłby do dnia dzisiejszego na chwałę Pana Boga i pożytek bliźnich.

Ale, co się tyczy owej arki, pokazało się, że z budową jej nie tak łatwo, jak kto może sądził. Po pierwsze, trzeba mieć materiał do budowy, a tu nie wiadomo, który urząd ma wydać pozwolenie na zakupno, po drugie, chcąc wywieźć stąd „wszelkiego stworzenia po parze”, należy się najpierw postarać o pozwolenie na wywóz, a tu tymczasem odnośną instytucję przeniesiono do Warszawy, aby krakowskim spekulantom i paskarzom utrudnić robienie brudnej konkurencji swym warszawskim kolegom.

Zresztą, chcąc zakupić pewną ilość soli w Wieliczce lub Bochni, trzeba się starać aż w Warszawie o pozwolenie, ciekawa więc rzecz, dlaczego ta sama metoda nie ma być zastosowaną przy ubieganiu się o certyfikat wywozu lub przywozu?

W ostatnim czasie zniesiono podobno owo zarządzenie i Urząd wywozu i przywozu towarów po prostu wiono nadal w Krakowie, ale, na jak długo, tego nikt przewidzieć nie może, dotąd bowiem w Warszawie rządzą ludzie o domowym wykształceniu, można się więc spodziewać różnych niespodzianek.

Miejmy jednak nadzieję, że się obejdzie bez nowego potopu, a materiał, który ktoś zbiera na sklecenie arki obróci na budowę bodaj nędznej chałupiny, a zrobi na tem prawdziwie kokosowy interes. Mieszkań w Krakowie zupełny brak, jak się o tem przekonujemy z ogłoszeń w dziennikach: „Dam tysiąc koron lub pudełko papierosów egipskich przedwojennych za wyszukanie mieszkania, składającego się z dwu pokoi, kuchni i t. d.”, albo „Ożenię się z panną lub wdową, która odnajmie mi pokój kawalerski”.

A dlaczego w Krakowie taki brak mieszkań?... zapyta kto może. Dlatego, ponieważ siedzi tu bardzo wiele osób takich, które dawno już powinny być opuścić nasze mury i wybrać się do *Vaterlandu*, nad modry Dunaj lub srebrną Wełtawę. Ale dlaczego mają stąd jechać, skoro im tu bardzo dobrze i nikt ich stąd nie pędzi. Owszem, na każdym kroku okazuje się im nadzwyczajne względy, aby przypadkiem nie narzekali, że jesteśmy narodem niekulturalnym.

Traktat o mniejszościach narodowych dopiero teraz ujrzał światło dzienne, w Polsce był zaś od wieków stosowanym. Wszelkiego rodzaju mniejszości narodowe nie tylko cieszyły się u nas zawsze pełnią praw obywatelskich, ale poprostu wodzili nas stale za nos, a my znosiliśmy to bez szemrania.

Z owego traktatu skorzystamy bodaj tyle, iż będziemy mogli żądać, aby i nas gdzieś indziej traktowano jak ludzi, a nie uważano za jakąś *niederwertige Nation*.

Choć, prawdę rzekłszy, nikt na tem nie stracił, gdyby ci obcy przybyli, którzy nas tak pokochali, że nie mogą się z nami rozstać, wybrali się stąd za

siódma górę i rzekę (w stronę Wiednia rzeki są, ale gór niema!... Będą mieć o tyle łatwiejszą podróż!... przyp. zecera). Z pewnością nikt po nich nie zapłaci, a każdy pożegna ich z serca płynącym życzeniem „szczęśliwej drogi”.

Teraz czas, abyśmy się zabrali sami do pracy nad swem odrodzeniem, bez ich łaskawej pomocy, która, wiemy, jak wygląda!

Po ich wyjeździe i mieszkań będzie więcej i będzie więcej do jedzenia i, co najważniejsze, oczyści się powietrze, a my pozbedziemy się żmij, wyhodowanej lekkomyślnie na własnym swem łonie.

Po inne lata był kronikarz w tym ogórkowym okrasie w kłopotcie, o czym pisać, gdyż brakło materiału. Dziś jest zupełnie inaczej. Sezon ogórkowego dotąd niema (ogórki, dzięki niepoгодzie, należą do rzadkości i specyaliów dostępnych chyba dla paskarzy...), zaś materiału kronikarskiego jest taka moc, że sam człowiek nie wie, z której zacząć beczki. A każdy i ciekawy i aktualny, że aż się prosi, aby go włączyć na papier.

Kończą się wakacje, im też trzeba dać pierwszeństwo i poświęcić im słów kilka. Tym, którzy wyjechali z Krakowa na świeże powietrze, daję się porządnie we znaki, bo chyba nie należy do przyjemności siedzieć przez cały dzień w dusznej izbie w jakiejś tam Koziej Wólce i toczyć wojnę z muszami, które, idąc w ślady swych gospodarzy, rade byłoby zjeść tywcem każdego mieszczucha. Gdyby bodaj aprowizacja była lepsza, to jeszcze pół biedy, niestety, jest inaczej. Dawny włościanin, tak przez niektórych i niektóre wyidealizowany, uważa się już dziś za obszarnika i ani mu w głowie staranie się o to, aby inni mieli co jeść. Jemu wystarczy zupełnie, jeśli sam będzie miał czym głód zaspokoić.

I ci, którzy w mieście zostali, bardzo nie utyli i oni przeklinają tegoroczną pogodę, jakiej nie pamiętają najstarsi ludzie. Błota miewaliśmy dno i w Krakowie. Aby na niem „użyć”, nie było trzeba wybierać się nawet poza planty.

Co do warunków aprowizacyjnych, wieś i miasto mogą sobie podać rękę. I tu i tam daje się odczuwać brak tego i owego artykułu, na wsi jedynie świeżego powietrza nie brakuje.

Ruch wakacyjny widoczny też jest w Krakowie. Od hotelu do hotelu ciągną całe pielgrzymki przyjeżdżających, szukających bodaj na noc kawałka dachu nad głową. Ale trudno go znaleźć. Jest się skazanym na spędzenie nocy na plantach, lub zdanym na łaskę i niełaskę prywatnych o szlachetnym sercu przedsiębiorców, którzy wynajmują u siebie łóżka tylko po... dwadzieścia koron od osoby za noc, a nie mają nic przeciw temu, choć trzy osoby wpakują się do jednego łóżka, byle tylko każda z nich z osobna „takse” zapłaciła.

A kte temu winien, że brak w Krakowie mieszkań dla przejezdnych? ... Magistrat!...

Przed niedawnym czasem wydzielił wydział trzeci magistratu krakowskiego rozporządzenie, na mocy którego nie wolno nikomu dłużej mieszkać w hotelu jak dziesięć dni. Było to zasadniczo bardzo racjonalne ze względu na wzmożony ruch przejezdnych, ale, jak zwykle, pozostało tylko na papierze i w sferze pobożnych życzeń. Właściciele i portyerzy hoteli (ci drudzy mają daleko większe znaczenie i decydują bez apelacji!) nie wzięli go sobie zbyt do serca.

Ba!... Ale cóż się dzieje?... Ten sam magistrat, który wziął przejezdnych w obronę, przez inny znów wydział lwia część hoteli na czas nieograniczony zajęł na kwatery wojskowe, tak, jak gdyby o lokale na nie nie można się było postarać gdzieś indziej.

Są mieszkania, składające się z czterech i więcej pokoi i mogłyby bardzo łatwo odstąpić część na pomieszczenie wojska, ale trudno to przeprowadzić, jeżeli mieszkanie należy do pana radcy, jego krewnego lub znajomego.

Zupełnie taki sam brak mieszkań w Zakopanem, Rabce, Krynicy, Szczawnicy itd. Za nędzne nory płaci się tysiące. Patrząc na to, przychodzi się do przekonania, że liczba ludzi skutkiem wojny bynajmniej nie spadła, owszem, podniosła się, co jest objawem bardzo pociesającym, ze względu na siłę państwową państwa.

Natomiast zasługuje magistrat na pochwałę, a to ze względu na spełnienie obietnicy i puszczania w obieg magistrackich bonów jednokoronowych, które ładnie wprowadziły się, ale mogą zapobiedz brakowi drobnych, tak się dającemu we znaki.

To tylko bieda, że obecnie można się łatwo bez nich i obejść, gdyż za koronę właściwie nie już nie kupi, a najniższą jednostką monetarną stała się dziś dziesięciokoronówka, nie przedstawiająca nawet i tej wartości, co dawniej korona.

Czyli innymi mówiąc słowy, dawniej były towary, ale nie było ich kupić za co, gdyż brakło drobnych,

a każdy chciał ich mieć jak najwięcej, by się uchronić od podatku przy stemplowaniu, dziś są drobne, ale niema co kupować za nie, gdyż, albo brak towaru, albo, jeżeli jest, trzeba zań płacić „grubymi”.

Nawet przyszliz obszarnicy bojkotują nas i nie przyznają nic na targ, nie uznając magistrackiej taryfy maksymalnej. Pocóż zresztą mają się fatygować, skoro wyręczają ich w tem bardzo chętnie przekupki i drobni sklepikarze, zakupujący wszystko według poddyktowanych cen, a puszczający towar w dalszy handel po jeszcze wyższych.

Jakieś środki zaradcze ma wynaleźć magistrat, policja i straż obywatelska. Kiedy to jednak nastąpi, to tajemnica urzędowa, której zdradzić nie wolno.

Widzę z boleścią, że dotąd o wakacjach bardzo mało napisałem, zabierając natomiast głos *de omnibus rebus et quibusdam aliis*, a tymczasem wakacje gotowe się skończyć.

Obecnie są one w całej pełni, odpoczywa bowiem i warszawski Sejm i krakowska Rada miasta, odbywa się i paryska Konferencja pokojowa, że i jej, po ośmiu miesiącach obrad należałoby się wytechnienie.

Zupełna racja!... Nawet koń musi sobie przecież odpocząć, choć ma cztery nogi.

Ale nie wszyscy wypoczywać mogą. Dla niektórych właśnie teraz zaczyna się czas intensywnej pracy, a należą do nich przedewszystkiem członkowie rządu warszawskiego. Jedni z nich mają przed sobą bardzo ważne zadania do spełnienia, drudzy pakują swe kufry, aby się przenieść w dobrze zastrzyżony stan spoczynku, czyli rozpocząć nieograniczone wakacje, tak jak to już zrobił pan Karpiński.

Prezydent Paderewski jest oczywiście także w ruchu. Raz gości senatora Morgenthana, to znów wita „wielkiego Amerykanina” Hoovera, generała od światowej aprowizacji.

Senator Morgenthau bada ciągle bardzo energicznie i gorliwie położenie Żydów w Polsce i chciałby koniecznie znaleźć „uciemnionych”, ale się mu to nie udaje. Widzi, że im tu dobrze i że Polska, to właśnie dopiero prawdziwa ziemia obiecana dla diatwy Izraela. W tym celu, aby mniejszość narodowa tem silniejsze korzenie zapuściła, zakłada podobno w Warszawie bank na wielką skalę, gdzie Polacy znajdą kredyt, a Żydzi, jak to wyraźnie zaznaczył, zajęcie.

Hoover, dyktator, czy jak go nazwałem, generał od aprowizacji światowej, także osobisty przyjaciel Wilsona, przyjechał do Polski w tym celu aby nam powiedzieć na rozum, że się należy zabrać raz już do pracy. Niania Ameryka karmiła dotąd polskiego noworodka (naturalnie nie zadarmo!), ale to wielki trwać nie może. Na przekonanie nas o tem przeznaczył kilkanaście dni, które spędził nad Wisłą.

Tak się już przyzwyczailiśmy do tego, że każdy, o kim się mówi „osobisty przyjaciel Wilsona”, to Żyd, że poprostu dziwnem się wydaje, iż Hoover wygląda zupełnie po chrześcijańsku.

Zresztą i pan Paderewski jest osobistym przyjacielem Wilsona, a jego chyba nikt o semickie pochodzenie nie posądzi.

Kto jednak ma najcięższą dziś robotę, to ów „mały opatrnościowy”, Biliński. Ma on za jednym zamachem wyciągnąć nas z błota i wyczyścić warszawską stajnię Augiasza z tego śmiecia, jakie się tam nagromadziło jeszcze od czasów gabinetu Moraczewskiego, kiedy to niektórzy nawet ministrowie nie uznawali prawideł polskiej ortografii. Błdy s'rach obsładi ludzi o „domowym wykształceniu”, którzy widzą, że kończą się dla nich złote czasy, a zbliżają wieczne wakacje.

Bilińskiego na jednym i drugim polu czeka bardzo ciężka praca, nie ulega przecież wątpliwości, że jej sprosta. Przyjdzie mu walczyć z niejedną przeszkodą, zwłaszcza, że jako pochodzący z Galicji, przez Kongresowców zaliczony będzie też do „plagu”, jakie ich trapią (gdyż wykazują im ich nieuolność i nieuctwo...). Ale on dał już tyle dowodów prawdziwie miedzienczej siły i energii, iż nie należy wątpić, że trudności zwalczy i utoruje drogę ku lepszej przyszłości.

Może wówczas Królestwo zmieni zdanie o tych, którzy pochodzą z byłego zaboru austriackiego i przyzna, że i oni, choć mają wykształcenie fachowe, a nie „domowe”, mogą się na coś przydać.

Bo oni (Królewiczy) tak źli nie są, za jakich chcieliby uważać, oni nas nawet i kochają, ale to im się nie podoba, że nam się zachlewa tych posad, które oni uważają za swą nieograniczoną własność. Są w oku jest im też nasze fachowe wykształcenie, jakiego pod rosyjskim rządem zdobyć albo nie mogli, albo nie chcieli, uważając „domowe” za zupełnie wystarczające.

I stąd ta ciągła nagonka na wszystko, co pochodzi z Galicji, odsadzenie nas od czci i wiary, choć jeśli gdzie, to właśnie w tym wypadku dążyć się bardzo trafnie zastępować zdanie: „Widzieliśmy w oku bliźniego, a belki w swym własnym nie spostrzegali...”